

TRZY ŹRÓDŁA WSPÓŁCZESNEJ HISTORIOGRAFII PAŃSTWOWEJ¹

Mariusz MAZUR

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej

ABSTRACT

THREE SOURCES OF THE CONTEMPORARY STATE HISTORIOGRAPHY

The present state historiography in Poland is dominated by the chronicling of events. But its politicization (even particization), mythologization and tabloidization neglecting methodological rules of the scientific research, implicate the misconception of the history and the incomprehension of the past, revealing in the different public contexts. Regarding current cultural processes, the effects for the contemporary historiography are massively destructive and no change for better is observed in this moment.

KEYWORDS:

Contemporary historiography, a revolt of the masses, authoritarian mentality, the politicization of history, the politics of history.

¹ Tekst niniejszy odnosi się do kwestii podniesionych na obradach Forum Badaczy Dziejów Najnowszych (10.12.2016), stanowiąc także głos w dyskusji wokół artykułu Jana Pomorskiego *Polityzacja/mitologizacja historii czyli w czym neuronauka (i metodologia) może pomóc badaczowi historii najnowszej?*

Obecną państwową historiografię najnowszą stymulują trzy czynniki: 1) quasi-konserwatywna, etniczno-tożsamościowa aksjologia, wsparta mentalnym autorytaryzmem, 2) uzależnienie społecznej praktyki historycznej od społecznej praktyki politycznej (inaczej rzecz ujmując: recydywa „peerelowskiego” postrzegania historii, jej metod i celów), 3) Gassetowski bunt mas, narzucających swoje mity historyczne. Każdy z nich ma zespół cech składowych, z których większość powtarza się w każdym z trzech wymienionych czynników, wzmacniając ich unitarność i utrudniając arbitralną delimitację. Skutkiem jest przyrost wiedzy faktograficznej, krótkotrwały zastój w rozwoju nauki i atrakcyjny materiał empiryczny dla historyków historiografii do badań komparatystycznych z innymi okresami historii Polski, szczególnie XX wieku.

1 Podział na historię „prawdziwą”, czyli polityczną (*Geschichte*) i niepotrzebną, bezwartościową (*Geschäfte*), bliski był dużej części środowiska historiografii niemieckiej drugiej połowy XIX w., w tym Johannowi G. Droysenowi. Ówczesna szkoła pruska w historiografii budowała tożsamość narodową, rację stanu, głosiła nacjonalizm, chwałę władzy, piętnowała wrogów. Jej zwolennicy łączyli naukę z działalnością polityczną, porównywano ich wręcz do karnej armii opartej o strukturę, hierarchię i oddanej jednemu celowi. Nie akceptowali Rankowskiego nawoływania do obiektywizmu. Z drugiej strony silne państwo dbało o historyka-urzędnika, odwdzięczając się za lojalną służbę². *Ipsa historia repetit* (historia lubi się powtarzać), jednak warto pamiętać, że XIX wiek był początkiem postrzegania historii jako nauki. Dzisiaj jesteśmy/ powinniśmy być o 150 lat mądrzejsi a przynajmniej bardziej doświadczeni.

Przemiany, jakie dokonały się w ostatnim roku w historiografii najnowszej w Polsce, pozwalają na postawienie wstępnego wniosku, że wracamy do hegemonii dyskursu zdarzeniowego, wręcz ultrazdarzeniowego, a co za tym idzie – politycznego. Co prawda dominował on zawsze, ale w ostatnich latach nie istniała ani jedna instytucja naukowa, w której byłby on postrzegany jako jedyny właściwy. Dodatkowo trwał proces powolnego ustępowania części pola innym modelom, przy jednoczesnym utrzymaniu priorytetowego miejsca. Z tych względów monopol wraca dzisiaj ze zdwojoną siłą, uwolniony z okowów poprawności historycznej, narzucającej wyjście

1 G.G. Iggers, *Użycia i nadużycia historii: o odpowiedzialności historyka w przeszłości i obecnie*, [w:] *Pamięć, etyka i historia. Anglo-amerykańska teoria historiografii lat dziewięćdziesiątych*. (Antologia przekładów), red. E. Domańska, Poznań 2006, s. 110.

2 Por. A.F. Grabski, *Dzieje historiografii*, Poznań 2011, s. 487-500.

poza zdarzeniowość i wymuszającej przynajmniej pozorowanie interdyscyplinarności. Niezwykle ważna historia zdarzeniowa (którą sam uprawiam) jest konieczną podstawą prowadzenia pogłębianych badań, jednak obecne nasilenie krytyki skierowanej wobec innych modeli wynika zazwyczaj z niekompetencji popartej arogancją rzekomego poznania Prawdy ostatecznej w zakresie paradygmatów i celów uprawiania historii. W takiej perspektywie każda historia kobiet staje się „ideologią *gender*”, a np. historia życia codziennego – niepotrzebną czy wręcz szkodliwą i z pewnością nienaukową niedorzecznością. Takie stwierdzenie jest do pewnego stopnia zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że jego autor został funkcjonariuszem partyjnym i państwowym. Dlaczego więc cokolwiek poza polityką miałoby być dla niego (ale też dla innych, których wyrezytał w procesie decyzyjnym) istotne i godne analizowania? Zapewne życie codzienne nie wchodzi w zakres jego doświadczeń. Niestety, wspomniana konstatacja wywołała natychmiast aprobatywny odzew bardziej serwilistycznie nastawionych historyków³ i próby eliminowania historii życia codziennego z prac na temat dziejów poszczególnych regionów⁴.

Przekonanie, że poza historią polityczną nie ma dziejów, przekształca się w swoisty mit tożsamościowy, przyjmuje rolę identyfikacyjną i odróżniającą. Wydaje się, że stworzenie takiego paradygmatu obecnie staje się jedną z podstawowych misji obecnych decydentów w historiografii najnowszej. Permanentne negowanie historii społecznej, kulturowej czy wręcz jakiegokolwiek innej poza polityczną ma bowiem swoje głębokie ideowe uzasadnienie. Można je wyjaśniać antykomunizmem, który wobec takich „marksistowskich” zagadnień jak społeczeństwo, gospodarka czy, co gorsza, kobieta, nie skrywa pogardy. Prawdziwy antykomunizm historiograficzny⁵ wykazuje awersję do teorii i refleksji, może być wyłącznie polityczny i zdarzeniowy⁶ oraz jednoznacznie afirmatywny. Nie są to zresztą jedyne cechy wpisujące go do grona fundamentalizmów epistemologicznych.

Najbardziej popularnym podejściem jest przemilczanie innych konwencji i modeli, co jako mechanizm jest skuteczne i nie wymusza wysiłku intelektualnego;

³ Jest to bardzo ciekawa glosa uzupełniająca wiedzę o stałych schematach mentalnych bez względu na panujący ustrój.

⁴ Inaczej należy rozumieć tych historyków, którzy ze względu na swoje umiejętności nie byli w stanie wyjść poza schemat monografii regionu sprowadzanej do tematów: UB kontra podziemie, podziemie kontra UB, UB kontra Kościół katolicki, struktury partii. Odmiennej interpretacji wymagają jednak przypadki celowego blokowania tematu „życie codzienne” w tego typu pracach.

⁵ Sformułowanie to zawiera pewną ironię, odnoszącą się do tej części klasycznych historyków, którzy są przekonani, że praktykują „paradygmat historiografii antykomunistycznej”, będący zaprzeczeniem „historiografii marksistowskiej” uprawianej ponoć w PRL.

⁶ Warto przypomnieć lekceważącą uwagę jednego z członków Kolegium IPN podczas odbywającego się 18 lipca 2016 r. publicznego przesłuchania kandydatów na prezesa tej instytucji, gdy jeden z nich napomknął o konieczności prowadzenia badań psychohistorycznych.

przy projekcie totalnym to jednak za mało. Największa instytucja zajmująca się historią najnowszą, Instytut Pamięci Narodowej, przez ostatnie kilka lat podejmował próby – czasami z bardzo dobrym skutkiem, choć nie przytoczę tu nazwisk i tytułów, by nie komplikować życia niektórym naukowcom – poszerzania pola epistemologicznego i metodologicznego. Teraz – obserwując wzorce intelektualne obecnych decydentów naukowych – nastąpi krótka przerwa w rozwoju nauki. Ruszyły za to przygotowania do publikacji opasłych tomów wypisów ze źródeł oraz samych źródeł i łatwych w opracowaniu albumów biograficznych, które zamiast ukazywać się w ekonomicznej formie e-booków, wypełnią głębię próżności produkcyjnej wybrańców, mających dostęp do środków finansowych, by wzorem lat odległych można było popisać się ilością mierzoną w metrach i kilogramach. W tego typu wypadkach jakość staje się jedynie wtórnym celem, do którego trzeba jedynie usilnie dążyć. Historyk zajmujący się Polską Ludową bez problemu znajdzie przykłady zastosowania takiej metody, włącznie z odpowiedzią na pytanie o jej praktyczne efekty. Mówiła o tym również dawna anegdota o komunizmie i horyzoncie... Z drugiej strony pewnie mamy tu do czynienia z jakąś (może nawet nieuświadomianą) reaktywacją głęboko zakorzenionej filozofii rewizjonizmu Karla Kautsky'ego, w myśl którego cel – niczym, droga – wszystkim.

Jednak w środowisku historii afirmatywnej można dostrzec swoistą schizofrenię. W dużej części „politycznie” jest ono – przynajmniej oficjalnie – mocno antyrosyjskie. Z drugiej strony rosyjskie poczynania tożsamościowe i tamtejszy model polityki historycznej jest mu nie tylko bliski, ale wręcz idealnie odpowiadający, modelowy. Problem stanowi przyznanie się do tego, że polityczne i historiograficzne wzory czerpane są od tych podmiotów, które urzędowo się potępia. Samo istnienie historii afirmatywnej i ekskluzywistycznej, zapowiedzi powrotu do prawnych zakazów „krytyki narodu”, polaryzująca narracja chwały i zdrady bez dostrzegania przestrzeni między nimi, kategoryzowanie ludzi na „swoich” i „wrogów”, przy czym odmiennosc zdania jest wystarczająca do negatywnej klasyfikacji, podkreślanie przewodnictwa w cierpieniu i bohaterstwie, posłannictwo dziejowe, obrona „oblężonej twierdzy”, „utrata zaufania kierownictwa” kończąca się wyrzucaniem z pracy, a jednocześnie stałe przekonywanie, że właśnie na tym polega uczciwość, rzetelność naukowa i pluralizm oraz Prawda historyczna – można by rzec wzorem wcześniejszej epoki – „jedynie prawdziwa” – wszystkie wymienione paralele z Rosją są nieprzypadkowe i stanowią konsekwencję aksjologicznych analogii, przy których odmiennosc ideologiczna wynika jedynie z innego rozłożenia akcentów mitotwórczych.

Odpowiedzialności za taki stan rzeczy nie można sprowadzać wyłącznie do kwestii zaangażowania ideologicznego. Moim zdaniem największego spustoszenia w świa-

domości historyków stale dokonuje naiwny realizm. Polega on na przeświadczeniu o percepcji rzeczywistości „takiej, jaka ona jest”. W połączeniu z fundamentalizmem epistemologicznym jako składnikiem myślenia autorytarnego kanalizuje on znaczną część historiografii najnowszej. Jeśli realność jest namacalna, to każdy, kto mówi o niej inaczej, staje się głupcem bądź oszustem, inna możliwość jest niewyobrażalna. Ale psychologowie wskazują na jeszcze jedno dopełniające zachowanie – błąd konfirmacji – poglądy bliższe naszym przekonaniom przyjmujemy jako prawdziwe, a te, w które nie wierzymy, uznajemy *a priori* za błędne i niemądre⁷. Naukowcy, pomimo nakazów warsztatowych, niewiele wykraczają w takim rozumowaniu poza typowy sposób myślenia przeciętnego człowieka. Nieuświadomienie takich zagrożeń nie pozwala przeciwdziałać ich następstwom.

Wydaje się, że dość istotną rolę odgrywa tutaj też czynnik autorytarnej mentalności plemiennej. Wśród najbardziej specyficznych błędów (metod?) wymienić należy podejście relatywistyczno-fundamentalistyczne. Mimo głoszonej pryncypialności grupa własna „my” ma większe prawa do wychodzenia poza normy, przy powszechnej tolerancji. Wobec grupy „obcej” („oni”) stosowany jest jednoznaczny rygorizm moralny. Ponownie należy stwierdzić, że jest to znany w psychologii społecznej i oczywisty mechanizm, tylko czy z tego względu winien zyskiwać placet?

11

Wymieniając na początku czynniki stymulujące współczesną praktykę historyczną, celowo w przypadku określenia „peerelowski” użyłem cudzysłowu. Nie jest to bowiem ówczesny wynalazek (pisałem powyżej choćby o szkole pruskiej), został on z PRL jedynie reintrodukowany, a chodzi tu o zestaw metod instrumentalizujących historię jako naukę. Jego peerelowskie konotacje w tym wypadku wynikają głównie z trwale interioryzowanych w pamięci decydentów odniesień do tamtej epoki i wyniesionych z niej doświadczeń, które w bezpośredni sposób wykorzystywane są do osiągnięcia sukcesu kolejnego projektu politycznego.

Opisywany powyżej ostatni zwrot paradygmatyczny został wymuszony niezwykle ważnym czynnikiem, psychologią. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z nostalgią za czasami młodości. W historiografii najnowszej cały PRL odgórnie i celowo immunizował naukę przed wpływami z Zachodu, odnajdując aksjologiczne wsparcie w regułach światopoglądowych idei konserwatyizmu, swoistego *przaśnego* trwania. Przemiany roku 1989 wymusiły w naukach historycznych nieakceptowalne dla wielu procesy.

7 C. Tavis, E. Aronson, *Błądzą wszyscy (ale nie ja)*, tłum. A. Nowak, Sopot-Warszawa 2008, s. 25, 46-47.

Dzisiaj podjęto próbę powrotu do wcześniejszego modelu, dostosowanego jedynie do wymogów współczesnego ukonstytuowania kulturowo-politycznego Polski w świecie Zachodu. Sprzeciw wobec niezrozumiałej formy nauki, odejścia czasów hegemonii źródła, które wystarczyło jedynie przywołać i omówić, trudności z przebicciem się tez odmiennych niż powszechnie przyjęte (*mainstreamowe*), nieakceptowalne reguły postmodernizmu – choćby wielości i równoważności prawd – prowadzą do kontrrewolucji, sprzeciwu wobec „nowoczesności” i „postępowców”⁸. To swoista ludowa reakcja na „nowinki”, i fakt, że owe „nowinki” znane są już od pół wieku, nie ma tu żadnego znaczenia. Tutaj ponownie daje się dostrzec bliskość rozwiązań rosyjskich, gdzie tęsknota za imperializmem (w tym radzieckim) perfekcyjnie współgra z myślą konserwatywną i nacjonalistyczną. Tyle że w Polsce⁹ ten typ konserwatyizmu nie jest elitarystyczny (jak można by się spodziewać), ale na wskroś demokratyczny (by nie powiedzieć: ludowy), populistyczny i masowy; bliżej mu do socrealistycznych zasad – prostoty i zrozumiałości dla ludu – niż *zapadnickiego* „progresywizmu”.

Enzo Traverso pisze w *Historii jako polu bitwy: Przeszość i przyszłość krzyżują się i prowadzą ze sobą dialog w teraźniejszości, w której bez przerwy są wytwarzane i na nowo wymyślane. Pisanie historii ma więc coś wspólnego z politycznym wykorzystywaniem przeszłości*¹⁰. Należy się z tym zgodzić, choć konieczne jest pewne doprecyzowanie. W tym kontekście bardzo trafne jest wyrażenie, jakiego użył w swoim tekście Jan Pomorski – **pilotowanie** [wyróżnienie – M. M.] *własnych wizji przeszłości* przez partie polityczne i grupy interesu. Według mnie taka metoda różni się od wcześniejszego i bardziej powszechnego promowania. W modelu autorytarnego podejścia – podkreślmy – podejścia, nie reżimu politycznego – *pilotowanie* odbywa się w sposób bardziej mechaniczny, administracyjny, zadaniowy, jest bardziej widoczne, mniej finezyjne, stąd adekwatne do tego określenie¹¹. Darwinowskie przekonanie, że istnieje jakaś druga strona, którą dla dobra własnego i nauki należy pokonać, i która posługuje się nagannymi metodami, pozwala na zastosowanie najbardziej radykalnych środków. Ostentacyjne przywołanie świata uznanych wartości, w dodatku w znaczeniu fundamentalnym, które zostają zmonopolizowane, pozwala na ich obronę wszelkimi sposobami, nawet przy braku jakichkolwiek zagrożeń. Prymarność Ojczyzny, honoru narodowego, dumy, Prawdy wręcz, wymusza obronę ich bez oglądania się na ewentualne

⁸ Mamy tu do czynienia z powrotem do idei mas i ich poziomu rozumowania jako obowiązującej normy.

⁹ Zjawisko nie ogranicza się do przypadku Polski. Po procesie umasowienia społeczeństwa w XX w. współczesny konserwatyzm stał się antyelitarystyczny, populistyczny i ludowy. Z perspektywy pragmatycznej nie ma znaczenia czy jest to tylko gra obliczana na pozyskanie wyborców, czy wewnętrzne przekonanie.

¹⁰ E. Traverso, *Historia jako pole bitwy. Interpretacja przemocy w XX wieku*, tłum. Ś.F. Nowicki, Warszawa 2014, s. 326.

¹¹ Synonimiczne byłyby w tym wypadku „ręczne sterowanie”.

straty i normy uznane za drugorzędne i umowne, jak rzetelność (w dodatku – jeszcze niższego rzędu, bo naukowa), prawda (odmienna od Prawdy), profesjonalizm, nie mówiąc już o podejrzanych z natury: pluralizmie i wolności słowa. Podobnie jak w PRL nie było miejsca na normy „faszystów”, w III RP – dla nacjonalistów i antysemitów, aktualnie nie ma dla „komunistów” („lewaków”, „lewicy”). W każdym przypadku etykiety narzucali autorytatywni decydenci, bynajmniej niewywodzący się ze świata nauki. Za każdym razem uznawali/uznają to za „budowanie kapitału społecznego” dla powodzenia własnych idei.

Budowanie kapitału społecznego poprzez mitologizację i polityzację historii stanowi oczywistą i akceptowalną praktykę społeczną. Tyle że odwoływanie się podczas jej implementacji do zasad założonej/celowej polaryzacji społeczeństwa na zhierarchizowane „sorty” o nierównych prawach i możliwościach znowu może stanowić dowód na powrót do modelu czasów komunizmu i używanych wówczas metod zarządzania przez kreowanie stanów konfliktowych¹². Hołd dla powojennego antykomunistycznego podziemia niepodległościowego jako tożsamościowe uzasadnienie podziału na lepszych i gorszych Polaków jest raczej drwiną z jego wartości¹³, niczym przysłowiowy prokurator stanu wojennego, przesłuchujący byłych opozycjonistów kandydujących do Kolegium IPN. Konstruowanie przynależności do wspólnoty narodowej na podstawie stosunku (również w środowisku historycznym) do konkretnych wydarzeń z przeszłości znamy z połowy XX wieku.

Zaskakująca jest skala i szybkość obecnych przemian. Następuje recydywa peerelowska w historii, tyle że pod innymi hasłami, oparta o inną ideologię, ale jednak odnosząca się do tych samych schematów, jeśli chodzi o warsztat oraz metody postępowania. W lubelskich mediach – miejmy nadzieję przez przypadek – wśród pomysłów dekomunizacji nazw ulic pojawiła się propozycja zmiany nazwy ulicy Narutowicza, a w Krasnymstawie próbowano „zdekomunizować” Stefana Okrzeję, uzasadniając to popularnością postaci w PRL. Wyznaczanie granic swobody wypowiedzi, niedopowiedzenia i specyficzna selekcja źródeł, przejmowanie instytucji naukowych i partyjne nominacje mają pomóc w wytwarzaniu mitu, na którym politycy wykreują

¹² Przypomina się fala zachwytyw grupy dziennikarzy w latach 2005-2007 nad odwoływaniem się rządzących wówczas polityków do idei Carla Schmitta, dotyczących rządzenia przez wywoływanie konfliktów, krytyki demokracji i wyższości systemu autorytarnego. W pewnym momencie głosy te drastycznie ucichły, gdy zrozumieli, jakie były tego konotacje i konsekwencje, bądź dowiedzieli się o flirtie Schmitta z nazistami. A przecież Schmitt to refleksje o najwyższej randze suwerenności i suwerena (stojącego ponad prawem), teologicznej pierwotności pojęć i roli katolicyzmu, wyższości kolektywności nad indywidualizmem, roli dyktatora, pogardy dla liberalizmu, wolności i parlamentaryzmu, konieczności identyfikacji wrogów i wykorzystywania ich w celu zarządzania społecznymi emocjami. C. Schmitt, *Teologia polityczna i inne pisma*, Warszawa 2012.

¹³ Precyzyjniej należałoby napisać, „drwiną z wartości części podziemia”, ponieważ de facto kontynuuje wartości antykomunistycznego ruchu narodowego.

nowy świat. Jeśli dyrektorzy największej instytucji historycznej opuszczają obrady konferencji naukowej (na której oficjalnie powinni przebywać), żeby wziąć udział w spotkaniu z politykami, to takie postępowanie świadczy o priorytetach, o podległości sfery nauki wobec ważniejszej – partyjnej (bo już nawet nie politycznej); jeśli można opuścić wygłoszenie własnego referatu, bo przecież i tak będzie można udawać udział w konferencji (a koledzy przymkną oko na nagłą nieobecność), to takie postępowanie ilustruje stosunek do obowiązków służbowych, które w zderzeniu z powinnościami partyjnymi są wtórne. Bez żadnego wstydu ogłasza się, że historyk nie ma prawa mówić, co myśli, jeśli instytucja, w której pracuje, zadekretowała inne poglądy i wręcz, że, podtrzymując prawo do własnego zdania, zachowuje się nieetycznie, ponieważ najpierw jest urzędnikiem, a dopiero potem naukowcem¹⁴. A wszystko pod hasłem obrony prawdy i wolności wypowiedzi. Zgodnie z jedną z zasad orwellowsko-peerelewskiej nowomowy nakazującej zmianę wektora znaczeń, słowa zostają te same, tylko ich sens nabiera nowych, odmiennych wartości.

Przemoc strukturalna ze strony państwa wymusza podporządkowanie się konkretnym siłom politycznym. Kariera, a czasem też możliwość zwyczajnego funkcjonowania, wymagają przyjmowania i powielania odgórnie narzuconych narracji historycznych. Spróbujmy sobie wyobrazić awans w obecnym IPN kogoś piszącego krytycznie o Kościele katolickim, Żydach, powojennym podziemiu niepodległościowym, albo pozytywnie o okrągłym stole, Lechu Wałęsie czy Adamie Michniku. Urzędnicy w imieniu polskiego państwa na to nie pozwolą. Podobnie w PRL niemożliwy był awans kogoś, kto napisałby pozytywnie o Kościele katolickim, podziemiu, i znowu... Wałęsie czy Michniku. Autonomia badacza jest zatem fikcją na pokaz, konieczną werbalnie, by nie negować świata wartości *in gremio*, co mogłoby wzbudzić odruch obronny i krytykę międzynarodową.

I tym razem można powtórzyć, że takie podejście nie jest niczym nowym, znowu odwołując się do XIX-wiecznych Niemiec, gdzie pracownicy szkół wyższych byli jednocześnie urzędnikami państwowymi. I również byli przekonani o własnej obiektywności i neutralności swych badań¹⁵. *Ipsa historia repetit*.

111

Mityzacja historii jest wpisana w jej działanie się. Mity organizują schematy poznawcze w celu uproszczenia świata, dopasowując się jedynie do epoki. Aktualne – narodowe, etniczne i konfesyjne – już od XIX wieku wypełniają przestrzeń kreowania tożsamości¹⁶.

¹⁴ Ponownie należy wspomnieć zasady pruskiej szkoły historycznej.

¹⁵ G.G. Iggers, dz. cyt., s. 109-110.

¹⁶ Ibidem, s. 113.

Jednak ich proste przeniesienie do innego wieku nie mogło się udać ze względu na przemiany społeczne ostatnich stu lat. W XIX wieku za procesy mitologizacyjne w historii odpowiadały wąskie elity intelektualne, służące zazwyczaj władzy (głównie państwowej i religijnej). Rodząca się dopiero nauka historyczna ustanawiała pewien zasób reguł, których ze względu na odpowiedzialność przed społeczeństwem i mecenasem starano się przestrzegać. Od tamtej pory krajobraz intelektualny uległ daleko idącej zmianie. Co najmniej od połowy wieku XX mamy do czynienia z pojawieniem się i wzrostem zupełnie innej zbiorowości zdemokratyzowanych i bardzo szerokich rzesz aktorów świata nauki o żywiołowej naturze i z rozbudowanym, wielowarstwowym spektrum rozbieżnych, często pozanaukowych, celów. Z jednej strony przyniosło to cenny (choć tu zdania są podzielone) pluralizm poglądów i możliwość rozwoju nauki, z drugiej wszystkie cechy społeczeństwa masowego znalazły odzwierciedlenie w środowisku historycznym. A społeczeństwo masowe rządzi się od stulecia własnymi prawami. Nie tylko nie zaakceptowało systemu norm, który zastało, wkraczając do nauki, ale wprowadziło do niej własny, dekretny jego bezdyskusyjność i wyłączność¹⁷. Jedną z konsekwencji jest choćby postępujące od 2 poł. XX wieku osłabianie wiary w naukę, której reguły wyjaśniające zostają zastępowane propozycjami mitów.

Same masy nigdy nie rozpoznawały własnej konduity¹⁸. W tym wypadku Gas-setowski bunt przekroczył już punkt krytyczny. Przy tak daleko posuniętym stopniu odrzucania (nieznajomości) zasad warsztatowych, których tłum młodych naukowców nawet nie miał szans poznać dzięki wcześniejszemu masowemu powstawaniu klasy „mistrzów”, dzięki deprecjacji długofalowego interesu społecznego na rzecz taktycznych zwycięstw, gdzie zwycięża szybki zysk osobisty (finansowo-towarzyski), wreszcie dzięki nagminnemu w niektórych wypadkach stawianiu interesów partyjno-światopoglądowych ponad dobro nauki, nie ma możliwości, by ta ostatnia zachowywała standardy. Sieć interesów personalnych determinuje tolerancję dla degradujących naukę postaw i publikacji. Wśród powodów utrzymywania się patologicznych stanów znajdujemy m.in. bezkarność i wyrozumiałość dla lekceważenia zasad warsztatowych, włącznie z drukowaniem niespełniających wymogów prac, czy głoszeniem absurdalnych tez, które w najlepszym wypadku są co najwyżej przemilczane, ale pozwalają na egzystowanie w środowisku. Z rzadka tylko pojawiają się próby naruszenia *status quo*, ale w tak obszernej zbiorowości można swobodnie funkcjonować w getcie własnych

¹⁷ Por. J. Ortega Y’Gasset, *Bunt mas*, tłum. P. Niklewicz, Warszawa 1997, s. 14-15, 69, 72.

¹⁸ 10 czerwca 2017 r. policja usunęła z ulicy i przewiozła na posterunek Władysława Frasyniuka protestującego przeciwko nadaniu szczególnych praw uczestnikom tzw. miesięcznic smoleńskich. Aleksander Głogowski, dr hab., pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, zareagował wpisem na Twitterze: „Facet chwali się tym, że siedział za komuny... Podobalo mu się w pierdlu czy co? Pewnie pod prysznicem ;)”. Głogowski jest laureatem wręczonego przez „Solidarność” odznaczenia „Pro Patria” za zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Polski.

znajomych bez względu na walory czy wady swoich: twórczości czy charakteru. Znana metafora historyka w funkcji sędziego zyskuje tym razem nową formę – ławnika sądu ludowego, z przyspieszoną edukacją, arogancją wspartą autorytetem fundamentalnej (dialektycznej) wiedzy „wyższego rzędu” i prawa do jej aplikowania, pewnością własnych poglądów przy braku odporności na krytykę, w której doszukuje się personalnego spisku, ale z prawem do oceniania innych. Co prawda, jak przypominał Carlo Ginzburg, powstawanie historii jako nauki w mocnym stopniu oparte było o reguły obserwowane w dziedzinie prawa¹⁹, czyli metafora sądu i sędziego jest jak najbardziej słuszna, to jednak chyba nie o taką jej formułę wówczas chodziło.

Należałoby poprzeć apel Jana Pomorskiego domagającego się, by autorytetu historyka-naukowca nie wykorzystywać w sferze polityki. Wydaje się jednak, że pozostanie on bez odpowiedzi. Społeczeństwo masowe odwołuje się do innych wartości niż estyma środowiska akademickiego, a i to ostatnie jest teraz emanacją społeczeństwa demokratycznie wyrastającą z jego jądra, z wszelkimi wadami i zaletami swej proveniencji. Przyspieszają procesy dewaluowania tytułów naukowych i ośmieszanie środowiska przez samych akademików, którzy przeszli do świata polityki i starają się zasłużyć na poklask wyborców i pryncypałów, deprecjonując autorytet nauki i uczelni. Narracja polityczno-urzędnicza tworzy nowe definicje bez jakiegokolwiek szacunku dla wiedzy czy wręcz logiki. Nie tak dawno ujawniono pomysł ustawowego rozszerzenia definicji ustroju totalitarnego o militarystykę pruski i dwa (!) przypadki nacjonalizmu (ukraiński i litewski). Taki stopień nieuctwa na poziomie gimnazjalnym degraduje dyskurs publiczny, jednocześnie legitymizując brak wiedzy jako obowiązującą normę. Jest to zjawisko tym bardziej dramatyczne, że wielu absolwentów historii i zawodowych historyków funkcjonuje aktywnie w polityce, akceptując takie rozwiązania. Postępuje proces tabloidyzacji nauki. Również zawodowi historycy przyjmują narrację – zarówno w treści, jak i w formie – charakterystyczną dla współczesnego świata, czyli mediów elektronicznych. Żeby dotrzeć do dzisiejszego odbiorcy, tekst musi być prosty i krótki, przekaz banalny i wyrazisty, prawdy – oczywiste i jednowymiarowe, a wszystko razem – szybkie i głośnie. Życie konkretnej informacji trwa krótko, ich mnogość wymaga dostarczania kolejnych, bardziej emocjonalnych i drastycznych²⁰. Pomysł gali boksu przepłatanej piosenkami Jacka Kaczmarskiego, Przemysława Gintrowskiego i krótkimi filmami historycznymi na cześć Anny Walentynowicz (grudzień 2015, IPN Gdańsk) czy rekonstrukcja ślubu rotmistrza Witolda Pileckiego (maj 2016, Ostrów

¹⁹ Por. E. Traverso, dz. cyt., s. 289.

²⁰ Z tego powodu przez ponad dekadę od otwarcia archiwum IPN najważniejszym projektem badawczym było znalezienie „teczek znanych ludzi”, który realizowało (choć należałoby napisać – w którym się realizowało) również wielu zawodowych historyków.

Mazowiecka) wydają się dość kontrowersyjne jako lekcje historii²¹, za to z pewnością budują narrację polityczną nastawioną na masy i przynależną im dominację emocji nad *ratio*. Moim zdaniem jednak odgrywanie przez 11-letnie dzieci scen bicia i strzelania w tył głowy swoim kolegom podczas przedstawienia w szkole ku czci podziemia niepodległościowego (2017, Skawina) to dowód, że części dorosłych zabrakło refleksji.

Pragmatyzm mitotwórczy sankcjonuje metody pozanaukowe, eliminując reguły warsztatu. Efektowność emocjonalna tezy bądź pojęcia ma większe znaczenie niż zgodność z rzemiosłem historycznym i adekwatność naukowa. Spróbujmy przeanalizować to na przykładzie określenia „żołnierze wyklęci” czy też „Żołnierze Wyklęci”. Na marginesie należy tylko wspomnieć, że po likwidacji Rady Jedności Narodowej, wycofaniu uznania aliantów dla polskiego rządu w Londynie oraz czasowego wymówienia mu posłuszeństwa przez większość struktur podziemnych – trudno mówić o prawnej kategorii „żołnierzy”, raczej należałoby stosować pojęcia: „partyzanci”, „kondotory”. Przyjąć należy, że jest to formuła kurtuazyjna, swoisty hołd i docenienie rangi ich postawy i wytrwałości w służbie dla okupowanej ojczyzny. Czymś jednak zupełnie innym jest dookreślenie „wyklęci”, które na stałe wpisało się w język zarówno potoczny, jak i naukowy. Dochodzi tu bowiem do postrzegania żołnierzy i partyzantów powojennego podziemia niepodległościowego z perspektywy narzuconej im przez komunistów. Patrzenie na nich z takiego punktu widzenia, nadanie im nazwy (!) konotującej propagandowy pryzmat autorstwa ich wrogów jest deprecjonujące i wydawałoby się naganne moralnie. Stosując identyczną regułę logiczną, można by próbować dodać prestiżu Józefowi Piłsudskiemu, nazywając go np. Nadmarszałkiem Pogardzanym (*notabene* przez tych samych komunistów). W wypadku podziemia antykomunistycznego narracja publicystyczna została jednak zaakceptowana przez większość środowiska naukowego bez względu na wątpliwości natury formalnej oraz wartość logiczną i warsztatową nowej nazwy. Potwierdza to jedynie siłę sprawczą podmiotów organizujących zachodzące w nim procesy. Zwrócić należy przy tym uwagę na – moim zdaniem – pierwotny cel odwołania się do kategorii krzywdy, jaką ilustruje „wyklętość”. Było nim zdeprecjonowanie historiografii pierwszej dekady III

21 Powtarzalność niektórych schematów kulturowych mimo różnych ustrojów jest symptomatyczna. Miasto Ostrów Mazowiecka w 2016 r. kupiło budynek i urządziło w nim Muzeum Dom Rodziny Pileckich, pomimo że Witold Pilecki był w nim tylko kilka razy w życiu, a sam dom był własnością jego teściów. Chęć upamiętnienia bohatera była większa niż niuansy ontologiczne; sprytną metodą była zmiana nazwy na „Dom Rodziny”, choć rodzina Pileckich nigdy w nim nie mieszkała. W Polsce Ludowej władze komunistyczne urządziły w Poroninie muzeum własnego bohatera Włodzimierza Lenina nie w tym domu, w którym naprawdę mieszkał Lenin. Nawet odkrycie pomyłki nie wpłynęło na zmianę decyzji. Jak widać taktyczne zyski w sferze symbolicznej są znacznie ważniejsze niż rzetelność przynależna narracji historycznej (a nie politycznej). Dla uzasadnienia własnych czynów wykorzystuje się wtedy różne triki i sofizmaty uwiarygadniające decyzje, ale przyznanie się do błędu w żadnej mocno zideologizowanej strukturze nie jest możliwe.

RP oskarżanej o intencjonalne przemilczanie podziemia. Taka narracja miała na celu wywołanie łańcuchów myślowych skojarzeń: ubecy-komuniści-twórcy III RP oraz wyklęci powojenni – wyklęci przez „salon”²². W przyszłości tego typu znaczenia nie będą już rozumiane przez użytkowników, pozostanie tylko niezręczna nazwa, u genezy której stał taktyczny, pozanaukowy interes polityczny.

Sięgamy tu kolejnego aspektu, w którym mityzacja sięga własnych postaw. Przekonanie, że samo odwoływanie się do szczytnych ideałów i publiczne piętnowanie komunizmu predestynują do wyższości moralnej, może demoralizować, przypomina przykład przyznania sobie samemu miana „genetycznego patrioty”. Ideologizacja nauki deprawuje jeszcze bardziej. Przeświadczenie, że wystarczy oficjalnie piętnować zło w historii i odwoływać się do wartości wyższych, by samemu być ich inkarnacją, jest już plebejską metafizyką. Przypomina też peerelowskich decydentów uważających, że ich antyfaszyzm oraz powierzchownie humanistyczne idee komunizmu nadały im prawo moralne i pozwalały na więcej. Historyk-polityk poszukujący w parlamencie możliwości wydania publicznych pieniędzy na prywatną szkołę w zamian za poparcie wyborcze pozostanie symbolem takiego myślenia.

Wybór symboli tożsamościowych nie znajdował się jednak w wyłącznej gestii samych decydentów politycznych. Zainteresowania historyczne Polaków oscylują wokół wojen i biografii, nawet nie wokół tematyki politycznej. Książki o akcjach militarnych, dziejach oddziałów czy żywotach znanych osób są częściej kupowane i czytane niż te na temat procesów historycznych czy struktur organizacji. Atrakcyjny obraz historii ogranicza się do kategorii historii heroicznej, wymagającej ofiar, z definicji skierowanej „przeciwko” komuś. Budowanie tożsamości zawsze powstaje w opozycji do „innych”, w konflikcie z jakąś, nawet mityczną, drugą stroną. Nie jest możliwe jej kreowanie na wzorcach modernistycznego mitu międzywojennej Gdyni czy reformy rolnej. Podobizna Eugeniusza Kwiatkowskiego na koszulkach nie angażuje wyobraźni ani emocji. W czasie dziecięcych zabaw można się ewentualnie wcielić w postać Hieronima Dekutowskiego „Zapory”²³ (choć i to jest wątpliwe), ale nie w Marię Skłodowską-Curie czy Mikołaja Kopernika. Mit krwi i honoru zawsze deklasuje mit pracy na ziemi. Heroiczna pamięć uwzniośla prozaiczność i nudę dnia codziennego, dzięki czemu chociaż przez

22 Jeszcze kilka lat temu popularna była samozwańcza autokreacja na „karłów reakcji” czyli spadkobierców Armii Krajowej, gdzie druga strona miała być spadkobiercami komunistów. Por. M. Mazur, „AK – zapluty karzeł reakcji”. *Błąd w sztuce [w:] Propaganda w systemach demokratycznych i niedemokratycznych*, red. J.W. Wołoszyn, Lublin 2015, s. 176-177. Obecnie AK i Zrzeszenie WiN są jednak wypierane na rzecz wyższości Narodowych Sił Zbrojnych.

23 Dwa pokolenia w PRL miały takie doświadczenie z bohaterami „Czterech pancernych i psa”. Niestety, nie wiem, czy dzisiejsze dzieci zaczną się bawić w „Roja” (Mieczysław Dziemiszkiwicz, partyzant powojennego antykomunistycznego podziemia niepodległościowego NSZ/NZW, zginął w walce w 1951 r.), choć prace nad tym trwają np. w Muzeum Powstania Warszawskiego. Dorośli robią to dzięki grupom rekonstrukcyjnym.

chwilę można poczuć się bohaterem, dysponentem wielkich ideałów. Hasło „Śmierć wrogom ojczyzny” jest bardziej nośne niż „wolność słowa” czy np. „etos pracy”. Tym bardziej, że dzisiaj można się ograniczyć do zaangażowania werbalnego, ewentualnie grupowego wyzywania kogoś bądź pobicia na ulicy. To aprioryczne, ale i zrozumiałe skierowanie „przeciwko” definiuje tę najbardziej zainteresowaną historią grupę. Tak powstaje paradygmat walki i dziejów jako konfliktu. Po raz kolejny ujawnia się siła socjaldarwinizmu. *Ipsa historia repetit.*

Istnieją dwie możliwości rozwoju takiej sytuacji. W atmosferze narastającego zagrożenia geopolitycznego i wewnętrznego konfliktu w kraju poziom instrumentalizacji historii będzie rósł, a heglowsko-marksowska alienacja, tym razem pamięci od przedmiotu badania trafi w rejony epistemologii postmodernistycznej. Druga możliwość – stała mobilizacja w warstwie historyczno-tożsamościowej doprowadzi do przesilenia i rozpadu narracji; hasło „śmierć wrogom ojczyzny” podzieli los znanego portretu Che Guevary wg fotografii Alberto Kordy – stoczy się do poziomu symbolu popkulturowego, ewentualnie usprawiedliwienia agresji bez zrozumienia i jakiegokolwiek znaczenia ideowego.

Z tej perspektywy metoda poszukiwania gramatyki i dekonstruowania mitów historycznych nie ma znaczenia, pozanaukowe cele marketingu politycznego determinują świat wartości narzucając schematy postaw i zachowań. Z tych wszystkich powodów jestem bardziej sceptyczny niż Jan Pomorski co do poszukiwania dróg historiografii, jakiej Polacy potrzebują. To nie środowisko naukowe będzie dyktowało, jaki rodzaj historii jest dzisiaj potrzebny, ale stanie się ona produktem dyskursu władzy: decydentów politycznych, mecenasów nauki i kultury, właścicieli mediów. Jednak czy taki stan rzeczy różni się czymś od reguł panujących w nauce „od zawsze”? Z drugiej strony – zgodnie z tradycyjnym etosem inteligencji – nie zwalnia to środowiska od starań i poszukiwania. Istotną jest odpowiedzialność historyka. Nie tylko w warstwie podstawowej – za zgodność narracji z warsztatem naukowym i odpowiednimi, wybranymi przez niego paradygmatami. Dlatego należałoby promować narrację pluralistyczną i rzetelną, niezideologizowaną i interdyscyplinarną, pozwalającą zrozumieć a nie jedynie enumerować.